

Niemieckie, czyli niczyje

AUTOR: HENRYK MAZURKIEWICZ

Szaberplac, moja miłość niebezpiecznie uniwersalizuje doświadczenia wojenne, próbując udowodnić, że instynktem szabrowania skażony jest każdy z nas.

■ Zlokalizować Szaberplac na mapie powojennego Wrocławia, na której zaistniał pod koniec 1945 roku, nie jest tak łatwo, jak mogłoby się wydawać. Ogólnie rzecz biorąc, znajdował się on przy obecnym, od tego czasu zmienionym nie do poznania, placu Grunwaldzkim. A jednak należy pamiętać, że nie bez kozery przyrównywany był do swoistego archipelagu składającego się z licznych wysp-sektorów. Dla przykładu tam, gdzie od paru lat znajduje się wielkie nowoczesne tramwajowe rondo, handlowano maszynami do szycia i pisania. Taka oto, z niejaką nutką kafkowską, specjalizacja. Natomiast po zakup gramofonu należało udać się na obecny skwer przed niemalże jedynym ocalałym po oblężeniu Festung Breslau obiektem w tej okolicy, kościołem Najświętszego Serca Jezusowego. Wyteżając wyobraźnię, możemy wcielić się w rolę sprzedawcy świń, kóz i królików, który oczekuje na klientów w miejscu, gdzie teraz stoją największe akademiki Uniwersytetu Wrocławskiego, licząca dwadzieścia trzy kondygnacje „Kredka” i jej młodszy brat, osiemnastopiętrowy „Ołówek”. Kto nie chce męczyć swych imaginacyjnych mięśni, ten z łatwością znajdzie w sieci stare zdjęcia, przemawiające wprost do zmysłu wzroku.

W najnowszym przedstawieniu Teatru Współczesnego – Wrocławia z czarno-białych fotografii szukać by na próżno. Już raczej w zeszłorocznym *Silesia, Silentia* w reżyserii Marka Fiedora. Przypominam ten spektakl, ponieważ autorka sztuki Lidia Amejko w swej poetyckiej podróży krętymi drogami dwudziestowiecznej historii tytułowej Silesii posłużyła się nietypową figurą dramatyczną – uszytym

przez żydowskiego krawca płaszczem. Jako uczestnik, obserwator i komentator wydarzeń scenicznych, ten zantropomorfizowany przedmiot garderoby stał się spoiwem świata przedstawianego, nie dając mu rozpaść się na poszczególne anegdoty, sytuacje, obrazy i urywkowe wspomnienia.

Moim zdaniem, podobne rozwiązanie jak z płaszczem do tematyki Szaberplacu – nomen omen – pasowałoby jak ulał. Jednak Tanja Miletić Oručević postanowiła zdecydowanie odciąć się zarówno od estetyki dokumentu historycznego, jak i od pomysłu na przewodnika narracyjnego. Widzów spieszących na premierowy pokaz podzielono na dwie grupy. Dokonano tego jeszcze w trakcie pokonywania lic-

i niepewni tego, co ma nadejść, lecz przygotowani na odparcie każdego możliwego ataku i walkę do upadłego.

Sporo w tej pierwszej, a właściwie to przedpierwszej scenie intrygującego statycznego napięcia, które, niestety, szybko się rozproszyło, gdy tylko zgasło światło nad widownią. Spektakl jak gdyby zrobił krok do tyłu. Rozkręcał się dość niespiesznie, a ze względu na czas trwania (półtorej godziny) powiedziałbym nawet: zadziwiająco, nieusprawiedliwienie wolno. Bohaterowie urządzali się w nowym dla nich miejscu niemalże w czasie rzeczywistym. Kładli się na leżące po bokach materace toksycznie żółtego koloru, rozpakowywali część bagażu, wypełniali jakieś formularze. Ktoś ze-

Grupka bohaterów bez imion, niestety, pozostała grupką bohaterów bez imion. Co gorsze, nakreślonymi grubą kreską, ucieleśnieniami pewnych stereotypów.

nych schodów łączących foyer ze Sceną na Strychu. Następnie usadzono naprzeciwko siebie, kilkoma długimi rzędami zamykając przestrzeń gry z obu stron. Usadzono na tyle daleko, żeby nie krępowali się częstą wymianą spojrzeń i podglądaniem cudzych reakcji. Pośrodku nakreślonej za pomocą nielicznych charakterystycznych detali, dość umownej sali gimnastycznej czekała na nas ósemka aktorów. W rękach bieleły się im poduszki, które przyciskali do jednakowych szarych koców. Stali ciasnym kręgiem, zagubieni

mdlał, inni, omijając znajdujący się pod wielką dziurą w suficie, wypełniony wodą krater (efekt bombardowania!), nawiązywali niezbędne kontakty, zadamawiali się na miarę możliwości. Po kilku minutach usłyszeliśmy pierwsze drobne prośby, charakterystyczne, niepewne dzielenie się wątpliwościami, kiedy się mówi niby do siebie, lecz na głos, żeby wszyscy dookoła słyszeli. Jednak dopiero odkrycie, że wśród innych znalazła się Ukrainka, uwolniło w grupie burzliwe reakcje spod hasła „bande-

WROCLAWSKI TEATR
WSPÓŁCZESNY

*Szaberplac,
moja miłość*
Szymona Bogacza

reżyseria
Tanja Miletić Oručević
współpraca
reżyserska,
opracowanie muzyczne
Piotr Łukaszczyk
dramaturgia
Marek Fiedor
scenografia, kostiumy
Maryna Wyszomirska
światła
Jacek Mieczkowski
muzyka Szilárd Mezei

prapremiera polska
29 września 2017

Scena zbiorowa



fol. Natalia Kabanow

rowcy”. Jeszcze większe zamieszanie sprawiły zamknięte drzwi oraz wisząca przy ścianie kamera monitorująca, faktycznie czyniące obecnych na sali więźniami.

Ta niepewność sytuacyjna rodem z thrillerów klaustrofobicznych, z filmów o dziwacznych i ryzykownych eksperymentach, których przebieg, jak zawsze, daleko odbiegać będzie od planowanego, skłaniała ku licznym, z ciekawością zadawanym pytaniom. Kim są ci ludzie? Gdzie się znajdują? Dlaczego akurat tu? Kto i po co ich zebrał? Dlaczego pozamykał drzwi? Na co, tak naprawdę, czekają? Wydawałoby się, że z tak zaaranżowanych warunków wstępnych, co chwila podsuwając widzom możliwe rozwiązania, niekiedy wprost wpuszczając ich w maliny, sporo dałoby się wykrzesać dla ogólnej intrygi. Jednakże wyszło tak, że pod koniec przedstawienia postawione pytania, mimo że prawie na żadne z nich nie uzyskaliśmy odpowiedzi, jakoś nie drażniły już wyobraźni i nie zachęcały do konstruowania kolejnych teorii. Z pewnością część odpowiedzialności za to ponosi autor sztuki, pisarz i muzyk, Szymon Bogacz. Dziwi to nieco u twórcy *Karskiego historii nieprawdziwej*, w której tak potrafił rozstawić akcenty, że w finale jeleniogórskiej realizacji tego tekstu najprawdziwsze ciarki przechodziły po plecach. Tym razem podobnego efektu uzyskać się nie udało.

Może dlatego, że *Szaberplac, moja miłość* ma niezbyt sprzyjającą temu dramaturgiczną

strukturę zbioru historii. Przy czym żadna z nich bezpośrednio nie wynika z poprzedniej, każda mogła być inna, inna mogła być też ich kolejność. Druga przyczyna, jak przepuszczam, polega na tym, że grupka bohaterów bez imion, niestety, pozostała grupką bohaterów bez imion. Co gorsze, nakreślonymi grubą kreską ucieleśnieniami pewnych stereotypów: Kato-liczka (Irena Rybicka), Ukrainka (Jolanta Solarz-Szwed), Informatyk (Maciej Kowalczyk), Wielka Dama (Beata Rakowska), Zbuntowana Nastolatka (Katarzyna Pilichowska), Profesor (Krzysztof Kuliński). Uniknąć tego smutnego losu udało się jedynie Piotrowi Łukaszczykowi dzięki sile jego aktorskiego warsztatu wspartego dłuższymi monologami i autentycznym zaangażowaniem. Całkiem zrozumiałe, bo aktor w przedstawieniu pełnił też rolę drugiego reżysera i odpowiadał za opracowanie muzyczne.

Oprócz Wrocławia w spektaklu czekają na nas turystyczne i nieturystyczne wypadki do byłej Jugosławii, Włoch i na Ukrainę. Tak szeroka geografia wydarzeń sugeruje, że ambicją twórców była daleko idąca synteza doświadczeń wojennych. Mylący natomiast wydaje się tytuł przedstawienia. Zbyt mało w nim zarówno o Szaberplacu, miejscu historycznym i symbolicznym, jak i o samym szabrowaniu, które najprościej definiowane bywa jako „grabienie mienia pozostawionego bez opieki przez uciekających w czasie działań wojennych, kłeski żywołowej itp.”. Pod takie określenie, ściśle

rzec biorąc, podpada jedynie opowieść o spustoszeniu pozostawionych, czyli „niczych”, pałacyków niemieckich. Z pewnością nie szabrowaniem, tylko zwykłą grabieżą, jest zmuszanie siłą do dzielenia się majątkiem w historii o polskiej golarce turystycznej. Jeszcze mniej szabru upatruję w groteskowej scenie wzajemnego pożyczania-okradania się dwóch mieszkających wśród gargantuicznych zapasów sąsiadek. Irena Rybicka i Beata Rakowska raz za razem okrążają scenę, wykonując choreografię coraz bardziej przypominającą dziwaczny rytualny taniec. Wydłużając listę wzajemnych pretensji, upajają się niepohamowanymi apetytami, które każą im kraść nie tylko przedmioty codziennego użytku, lecz także rzeczy tak niematerialne, jak wspomnienia i uczucia.

„Śmiem twierdzić właśnie, że [...] olbrzymia większość naszego społeczeństwa albo już szabrowała, albo szabruje, albo ma zamiar szabrować. Ci, co się boją, zazdroszczą tym, co się już zdecydowali” – napisze w 1945 roku felietonista „Dziennika Powszechnego”. Przeczytawszy ten cytat w programie spektaklu, pomyślałem sobie, że być może twórcy powinni byli odpuścić sobie zabawę w uniwersalne metafory i skupić się na jednym jedynym pytaniu młodej Helenki poszukującej wraz z tatusiem szafy do nowego mieszkania: „Jak to jest, wejść do cudzego domu i brać, co się chce?”. No, właśnie, jak? ■